



PAN WHICHER NA PROWINCJI

AGNIESZKA CHODKOWSKA-GYURICS
TOMASZ BOCHIŃSKI

LITERATE

PROLOG

KILKA DNI W GRUDNIU

15 GRUDNIA 1862 ROKU. PONIEDZIAŁEK, KWADRANS
PO DWUNASTEJ. WARSZAWA

Disraeli załatwił się na środku chodnika, naprzeciwko okazałej bramy domu przy Franciszkańskiej 30. Wysilek, jaki malował się na płaskiej mordce, był nader ucieszny i Whicher niemalże się uśmiechnął. Zobaczywszy jednak minę ciecia, który właśnie zamiatał i teraz z miotłą zbliżał się do mopsa, Jonathan skrzywił tylko usta. Cieć nie zdążył nic powiedzieć, gdyż w tej samej chwili o kamienne płyty, ledwie metr od psiaka, uderzyło z łomotem ludzkie ciało. Mózg ochlapał nowe kalosze detektywa. Szczeniak spłoszył się, omal nie wrywając smyczy z dłoni zaskoczonego Anglika, ulica na chwilę zamarła, tylko dorożki turkotały. Dopiero potem tu i ówdzie wybuchły okrzyki przerażenia.

Po ulotnej chwili wokół trupa zaczęli zbierać się ciekawscy. Whicher, złapawszy mopsa na ręce, zaklął bezradnie, nieznajomość języka sprawiała, że nie bardzo mógł ochronić ciało przed ciekawskimi ani wezwać stójkowego. Nim jednak zdołał sklecić w myślach zro-

zumiały dla gawiedzi komunikat, usłyszał tupot nóg i policyjny gwizdek. Odetchnął z ulgą, widać rewirówy stał całkiem niedaleko. Był młody, a po twarzy od razu można było poznać, że rozgarnięty. Detektyw podjął decyzję, wetknął psa w objęcia zdumionej jejmości, która, nie bacząc na obfitą tuszę, przybiegła obejrzyć krwawe widowisko. Potem spieszenie sięgnął po pugilares i wydobyl z niego kartkę, która w dwóch językach – po polsku i rosyjsku – zalecała okazywanie wszelkiej pomocy inspektorowi Jonathanowi Whicherowi, gościowi Jego Cesarskiej Wysokości. Dokument opatrzył pieczęcią i własnoręcznym podpisem oberpolicmajster Siergiej Siergiejewicz Muchanow. Stójkowy zerknął na podpis i pieczęć, po czym gracko zasalutował.

Anglik wydobyl nową kartkę i ołówek. Nagryzmołił szybko trzy zdania i zaadresował przesyłkę do radcy tytularnego Wawilona Aleksandrowicza Rożestwieńskiego, pełniącego obowiązki szefa Wydziału Kryminalnego Warszawskiej Policji Magistrackiej. Następnie łamanym rosyjskim poprosił stójkowego o pośpiech i wręczył mu dokument. Policjant zasumował się, ale potem sięgnął po gwizdek i dmuchnął weń tak, że Jonathanowi omal uszy nie odpadły. Na ten zew przybiegł następny policjant, starszy wiekiem, niezbyt inteligentny, ale za to dobrze obznajomiony ze wszelkimi gatunkami trunków – skonstatował Whicher, zobaczywszy jego poznaczone czerwonymi żyłkami oblicze. Po krótkiej wymianie zdań starszy z mundurowych wziął kartkę i pokłusował Franciszkańską, stu-

kając podkutymi butami o płyty chodnika. Detektyw odetchnął z ulgą i spróbował odebrać Disraelego jejmości, ta jednak, zapatrzona w małą mordkę psia-ka, wcale nie chciała się z nim rozstać i szczebiotała jak do ukochanego dziecka.

– Dziękuję, *madame* – rzekł uprzejmie przybysz z Wysp i zdecydowanie zdjął szczeniaka z obfitego biustu przygodnej opiekunki. Potem stuknął w ramię policjanta i wskazał otwarte na piątym piętrze okno. Na tle szarego grudniowego nieba błyskały szyby, powiewała ciemna zasłona.

Rewirowy powiedział coś śpiewnie, a potem wzruszył bezradnie ramionami i wskazał trupa oraz otaczający go tłum. Inspektor pokiwał głową z uznaniem, puknął się w pierś i zatoczył koło dłonią. Ponownie wskazał otwarte na oścież okno. Stójkowy pomyślał jeszcze chwilę, a potem wszedł w bramę i surowo nakazał coś zastygłemu w bezruchu dozorczy. Obaj zniknęli w wejściu na klatkę schodową. Nie było ich długo. Whicher nie miał problemów z utrzymaniem gapiów w rozsądnej odległości od ciała. W tym czasie obserwował, rejestrował otwarte w zgrozie usta pańien służących, zaszklone nieprzytomnie oczy bladej dziewczyny obdarzonej sporym biustem, pewnie guwernantki, sądząc po zeszytach wystających z koszyczka, rozciągnięte w obrzydliwym grymasie policzki przekupek, twarde spojrzenia mężczyzn rzuca-
ne spod podartych kaszkietów. W głosach, w rosnącym gwarze, choć dla niego niezrozumiałym, Anglik nie wyczuwał żalu czy współczucia. Jak zwykle domi-

nowała ciekawość, ale także, ku swemu zdziwieniu, inspektor słyszał coś na kształt złośliwej satysfakcji. Powtarzało się jedno słowo: „moro, moro, MORO”. Detektyw nie był w stanie domyślić się, czego dotyczyło. Wzruszył ramionami, potem zapyta.

Spojrzał jeszcze raz na zwłoki i teraz dopiero zrozumiał, co też go zadziwiło. Przyklęknął, pochylił głowę. Taaa... Wstał, czuł w kościach, że sprawa nie jest tak prostą, jak mu się początkowo wydawało. Przystąpił z nogi na nogę. Dizi zaskomlił niezadowolony, chciał biegać, a zwłaszcza obwąchać to coś, co go tak wystraszyło. Whicher pogrążył się w myślach, ale szybko ocknął, niepokojąc się długą nieobecnością posłanego do kamienicy stójkowego. Wtedy też zobaczył, że przez tłum przepychają się ludzie z policji kryminalnej. Na czele szedł starszy pan w cylindrze, bez pardonowo torując sobie drogę długą laską, za nim zaś pospieszał ubrany w jasny – mimo grudniowego popołudnia – płaszcz i melonik Strzegomski. Oczywiście szyję tłumacza fantazyjnie owijał wściekle zielony fular.

– Witam szanownego pana! – wykrzyknął z radością na widok Jonathana. Radość ta, wobec bliskości roztrzaskanych niewieścich zwłok, wydała się inspektorowi nieco niewłaściwą, ale energicznie potrząsnął dłonią sympatycznego dziwaka, potem zaś tak samo przywitał się z radcą i skinął głową reszcie policjantów.

– No tak. I co my tu widzimy... – Radca tytularny Wawilon Rożestwieński wydał dolną wargę i obszedł zwłoki dookoła. – Niewiasta lat około pięćdziesięciu.

Wypadła – zadarł głowę – z piątego piętra. Szanowny kolega widział to zdarzenie?

– Owszem. – Whicher wskazał z niesmakiem na ochlapanie buty.

– Sama skoczyła? Ktoś ją wyrzucił?

Anglik odparł:

– Nie wiem, nie zauważyłem.

Radca pokiwał głową. Inspektor domyślał się, jakim torem podążają jego myśli. „Po kiego diabła nas tu ściągnąłeś? Mało to samobójców w tym nieszczęsnym mieście?”. Ale ekipa Wawilona pracowała sprawnie, nie bacząc na fomy szefa. Kazimierski kazał kilku podwładnym uformować szczelny kordon, aby odsunąć gapiów. Dwaj nowi funkcjonariusze wydziału, Fuks i Czajkowski, rozstawiali statyw aparatu fotograficznego. Foma Fomicz Niewstrujew dzierżył już szkicownik i z uwagą przypatrywał się zwłokom. Znakomity rysownik wydziału nieraz dokładniej od fotografii odwzorowywał ważne dla śledztwa detale. Po zostali zaczęli odpytywać ludzi, by znaleźć jeszcze jakiegoś świadka zdarzenia. Spowodowało to odpływ spragnionych wrażeń gapiów, norma w tej sytuacji.

– A gdzie dozorca? – zrzędliwie zapytał radca. – Powinien warować tu jak pies.

Disraeli wybrał ten moment, by przeciągle zaskowycić, a potem ostro szczeknąć. Nauczył się właśnie tej sztuki i bardzo był z niej dumny.

Radca udał, że łapie się za serce i zapytał:

– To ten prezent od grafa?

– Tak – odparł sucho Whicher.

Rozestwieński uśmiechnął się złośliwie i wyciągnął rękę, by pogłaskać czarnomordego kulfona.

– Uwaga, gryzie! – zażartował inspektor.

Czy radca wziął ostrzeżenie na serio, czy też wspominał dozorcę nie wiadomo, jednak zrezygnował z pieśczot i ponownie sarknął:

– No, gdzież ten cieć?

– Posłałem stojkowego z dozorcą na górę, ale coś strasznie długo ich nie ma.

– No trudno, i my musimy tam się wdrapać. – Wawilon Aleksandrowicz z boleścią spojrział na piąte piętro i ruszył do bramy. Whicher bezceremonialnie przytrzymał go za ramię.

– Szanowny radco... Proszę posłać po profesora Wiśłockiego, przyda się.

Rozestwieński spojrział zdumiony na Anglika. Wzywanie najlepszego patologa, obecnie wykładowcę w Szkole Głównej Warszawskiej, wydało mu się nadmierną ekstrawagancją. Jasne że zewłok trafi do kostnicy i będzie przebadany, ale dość tam trupoznawców, nie trzeba zawracać głowy czołowemu specjalście w Królestwie. W tym też tonie chciał odburknąć, ale potem wspomniał swego byłego przełożonego – inspektora Czernyszewskiego, który niezwykle cenił gościa z Londynu – rzekł więc tylko:

– Powiadasz pan? – I skinął na młodego praktykanta, który stał obok, z nabożnym skupieniem słuchając rozmowy. W końcu nie codziennie można obserwować w akcji „księcia detektywów” Scotland Yardu, człowieka, który całkiem niedawno rozwiązał za-

gadkę śmierci grafini Dołgorukiej. – Na jednej nodze po Wisłockiego. Tylko uprzejmie!

Młodzieniec wystartował biegiem. Na jego ponaglące skinienie podjechał policyjny furgon. Wnet ruszył, krzesząc kołami skry na bruku.

– Ech, młodość – westchnął radca i wszedł do bramy. Whicher pospieszył za nim, a w jego ślady poszedł Strzegomski. Schody nie były zbyt strome, ale i tak Rozestwieński sapał jak parowóz. Na trzecim piętrze natknęli się na młodego stojkowego. Siedział na stopniu, jakaś starowinka poiła go herbatą. Radca poczerwieniał jeszcze bardziej, nim jednak zaczął sobaczyć, spojrział w błędne oczy policjanta i zamilkł. Wydał tylko znaczący pomruk, zobaczywszy zaś dozorcę, skinął nań i wskazał policjanta. Ciec podrapał się frasobliwie w podgoloną głowę i powiedział:

– Młody... ruszyło go. Ja, nie chwalący siem, wojskowom służywał, to i siem napatrzyłem.

– Prowadź, człowieku – zarządził spokojnie szef Wydziału Kryminalnego.

Wdrapali się na piąte piętro. Tu już było dość mroczno, okna małe i tylko dwa mieszkania.

– Tu, na lewo. – Dozorca wskazał uchylone drzwi.

– Były otwarte? – zapytał szybko Whicher.

– Co? – Ciec patrzył bez zrozumienia.

– Czy te drzwi były otwarte, gdy weszliście ze stojkowym do mieszkania? – Strzegomski przetłumaczył słowa Whichera.

– Nie. Musiałem otworzyć własnym kluczem.

Weszli. W niewielkim przedpokoju było całkowi-

cie ciemno. Anglik kopnął drobny przedmiot, który z brzękiem potoczył się po podłodze. Ciec, przygotowany na panujący tu mrok, zapalił latarkę i w jej blasku Whicher odnalazł na brudnej podłodze solidny klucz.

– Ciekawe – mruknął, obracając w palcach mosiężne, ażurowe cacko. Mops wykorzystał szansę, wyrwał się spod pachy inspektora i z radosnym piskiem ruszył w głąb mieszkania. Jonathan skoczył za nim. W dużym pokoju było jasno i zimno. Przez szeroko otwarte lukarnowe okno wpływał grudniowy ziąb, firranki falowały w przeciagu. Obok stał obity karmazynowym aksamitem fotel. Wokół niego, na jasnych deskach podłogi, widać było ogromną, prawie czarną plamę. Pies pochylił nad nią głowę.

– Dizi! Nie rusz! – krzyknął detektyw, a mops ze szczekiem wycofał się ku swemu panu, potem zaś zakręcił się w miejscu i ruszył ku zamkniętym drzwiom prowadzącym do następnego pomieszczenia. Oparł się przednimi łapami o pomalowane na biało deski. Whicher złapał go za kark i dopiero wtedy otworzył drzwi. Cofnął się o krok, gdy owionął go smród, którego z niczym nie można było pomylić. Słodkawy, ciężki odór. Inspektor wyjął latarkę z rąk dozorczy i poświecił. Światło odbiło się w dziesiątkach pokrytych bielmem oczu. Oczu martwych dzieci. Leżały na podłodze, najczęściej sine, niekiedy szerniałe, rozkład części z nich był już bardzo daleko posunięty. Noworodki z nieodciętymi pępowinami, dwu-trzytygodniowe berbecie, a pod ścianą stos dzieci kilkumiesięcznych, sądząc po wielkości zwłok. Disraeli opuścił

ogon i wykazał, że umie nie tylko szczekać. Zawył, jakby obudził się w nim daleki przodek sprzed tysięcy lat – bojowy molos. Zawył tak, jakby utracił całe stado, a gdy wreszcie umilkł, cisza w środku ćwierćmilionowego miasta wydała się przytłaczająca.

**15 GRUDNIA 1862 ROKU. WPÓŁ DO SIÓDMEJ WIECZOREM.
RATUSZ, BIURO WYDZIAŁU KRYMINALNEGO POLICJI
MAGISTRACKIEJ**

– Co wiemy? – Radca upił łyk herbaty i potoczył wzrokiem po obecnych.

Jacenty Kazimierski odchrząknął.

– Ofiarą jest Józefina Moro, wdowa lat pięćdziesiąt trzy. Rodzona w Grójcu, przybyła do Warszawy przed dwudziestu laty. Zawód wykonywany: akuszerka.

– *Engelmacherin...* – wtrącił Foma Fomicz, a niezawodny Strzegomski przetłumaczył:

– Fabrykantka aniołków.

Jonathan Whicher, zwany przez przyjaciół Jackiem, pokiwał głową. Straszliwy ten proceder rozpowszechniony był także w Londynie. Tępienie go przypominało walkę z wiatrakami. Rocznie setki i tysiące noworodków powiększało grono aniołków i nie było na to rady ni lekarstwa.

Kazimierski kontynuował:

– Ofiara zmarła dziś o dwunastej piętnaście na skutek upadku z piątego piętra domu, w którym zamieszkiwała.

Jonathan uniósł dłoń, przerywając policjantowi.

– Nie wyrokowałbym o tym przed uzyskaniem opinii profesora Wisłockiego. Mam podejrzenia graniczące z pewnością, że sprawa nie jest tak prostą.

– Niech pan nie będzie taki tajemniczy, inspektorze – rzekł radca. – Proszę nas oświecić.

– Ekhem. Domniemywam, że denatka została zadżgana i wyrzucona z okna.

– Bardzo skrupulatny morderca – wtrącił Kazimierski, przerywając czyszczenie rozłożonego na części rewolweru. Najlepszy strzelec warszawskiej policji obsesyjnie dbał o broń, nikt nie miał mu tego za złe.

– Dotykał pan ciała? – zapytał radca, unosząc brwi.

– Nie, oczywiście, że nie, ale wystarczyło przykłęknąć, by zobaczyć rękojeść sztyletu w okolicach lewego barku. Trudno założyć, żeby martwa zaciskała go pod pachą – odparł Anglik i osłonił kapeluszem płamę na lewym kolanie, w którą – jak mu się zdawało – wpatrywali się policjanci.

– Czajkowski! – rzucił nachmurzony Wawilon Aleksandrowicz. – Na jednej nodze do kostnicy. Wisłocki musi jak najprędzej zdać raport z sekcji.

Młody, korpulentny blondyn uśmiechnął się krzywo i bez słowa rzucił pętko kielbasy na zatłuszczony papier. Potem wdział obszerną bekieszę, cokolwiek za ciepłą jak na obecną pogodę, chwycił cylinder i już go nie było.

– Teraz, skoro już pozbyliśmy się oka i ucha naczałstwa – stwierdził sucho radca – słuchamy, co ma pan do powiedzenia, inspektorze Whicher. Bo przecież chce pan nam na coś zwrócić uwagę, nieprawdaż?

Jack odetchnął. „A to stary lis” – pomyślał, ale skinął głową.

– Zauważyli panowie, że ilekroć w sprawę zamieszane są wysoko postawione osoby, śledztwo staje się nad wyraz skomplikowane?

Jacenty Kazimierski prychnął, Foma Fomicz prawie się uśmiechnął, ale radca kiwnął tylko głową.

– Na rękojści sztyletu zobaczyłem taki oto symbol.
– Whicher wy dobył z kieszeni nieco wymiętą kartkę z notatnika i pokazał najbliższemu siedzącemu Kazimierskiemu. Ten odwrócił ją w drugą stronę i rzucił lakonicznie:

– Kościeszka.

Angielski detektyw uniósł brwi.

– To herb starego polskiego rodu szlacheckiego. Wielu się nim pieczętuje – pospieszył z wyjaśnieniem Strzegomski.

– Obawiam się, że może to być ród tak znaczny, że zagadka śmierci Moro i tego, co się działo w jej mieszkaniu, nigdy nie ujrzy światła dziennego – powiedział Whicher, nie owijając już w bawełnę. – A do tego żadną miarą nie można dopuścić – dodał twardo.

Obecni poparli go pomrukiem. Wszyscy byli na poddaszu i na wspomnienie tego, co tam zobaczyli, wielu do herbaty dodało nie tylko powidła. Jack nie powiedział im jeszcze, że w straszliwym składzie martwych dzieci dostrzegł jedno ułożone oddzielnie, nakryte bogato haftowaną chustką z tym samym herbem. Już otwierał usta, aby to oznajmić, gdy otworzyły się drzwi i radca tytułarny Wawilon Aleksan-

drowicz Rożestwieński został wezwany do naczelnika. Uznając ten fakt za koniec narady, Jonathan począł się zbierać, nie zdążył jednak się pożegnać, gdy wrócił radca. Czerwony na twarzy i zdyszany.

– Panie inspektorze... Naczelnik polecił mi serdecznie panu podziękować za wszelką pomoc, jakiej bezinteresownie udzielił pan policji, i życzyć pomyślnej podróży, jako że pan i *mister* Walker zostaliście pilnie wezwani do Londynu.

Whicher uśmiechnął się krzywo, uściśnął dłoń radcy i ruszył do drzwi. O wyjeździe wiedział już od paru dni. Wydział Kryminalny, którego powstanie nadzorował z Walkerem na prośbę cara, zaczął dobrze funkcjonować, nie potrzebowano więc już ich obecności. A to, co miał mu do przekazania naczelnik, brzmiało ni mniej, ni więcej: „Zrobiliście swoje i nie mieszajcie się więcej do naszych spraw”.

– Panie inspektorze! – Jacka dobiegł podniesiony głos radcy, obrócił się więc na pięcie.

– Oczywiście rozumiemy, że będzie pan bardzo zajęty przygotowaniem do wyjazdu, ale gdyby miał pan czas i ochotę pospacerować po Warszawie, a zwłaszcza w okolicach ulicy Franciszkańskiej, pan Strzegomski z pewnością chętnie będzie panu towarzyszył. Byłoby nam też miło, gdyby przez te ostatnie dni spędzał pan wieczory wśród nas w restauracji „Pod Nóżką”. Można tam będzie spotkać profesora Wisłockiego, a być może i nasz drogi Mikołaj Borysowicz wpadnie...

Whicherowi prawie udało się zachować kamienną twarz.

– Postaram się – odparł. – A gdybym potrzebo-
wał pomocy?...

– Oczywiście! Po koleżeńsku – podkreślił Wawilon
– nie odmówimy niczego.

– Dziękuję! – Spojrzał na uśmiechnięte twarze po-
licjantów. Zachowywali się jak sztubacy. Ale – cza-
sami – tak trzeba.

NOC Z 15 NA 16 GRUDNIA 1862 ROKU. HOTEL „EUROPA”

Nie mógł spać. Nawet szklaneczka whisky nie po-
mogła, zamiast więc uciekać od makabrycznego wspo-
mnienia, starał się przeanalizować wszystko, czego był
świadkiem. Może sprawa wyglądała następująco: pan-
na z dobrego domu popełniła błąd, a że w tym śro-
dowisku błędów się nie wybacza, postanowiła pozbyć
się kłopotu. Nie usunęła jednak dziecka, urodziła je
u akuszerki. Czyli rodzina była wciągnięta w spisek,
takich spraw przed matką się nie ukryje. Potem nor-
malną koleją rzeczy dziecko powinno zostać oddane
mamce... Ale mamkę wyszukiwała akuszerka. Oczy-
wiście wiele dzieci trafiało do miejsc, gdzie panowa-
ły warunki, które mogły im przynieść jedynie śmierć,
zwykle głodową, bo też do jednej i tej samej mamki od-
dawano nawet kilkanaście noworodków. Bywało czę-
sto, że akuszerka brała pieniądze od położnicy za opie-
kę nad dzieckiem, a zanosila je do domu podrzutków
albo i zostawiała na ulicy. Dlaczego Moro trzymała
w domu trupki tych biedaczyn? Oto kolejna zagadka...

Whicher wstał, zapalił świecę i łyknął zimnej herba-

ty. Uuuch, paskudztwo. Popatrzył tęsknie na butelkę szkockiej, ale nie ruszył flaszki. Miał sprawę do załatwienia, a katzenjamer z pewnością mu w tym nie pomoże. Wrócił do łóżka i rozmyślał. Może było tak, że panna wróciła – być może chcąc odzyskać dzieciinę – a zobaczywszy, iż noworodek jest martwy, otoczony trupkami sobie podobnych nieszczęsnych malców, wpadła we wściekłość i zadźgała akuszerkę, a potem wyrzuciła ją przez okno... Bzdura! A jeśli zrobił to ojciec dziecka? Myśli wreszcie splątały się i Jonathan zapadł w głęboki sen.

16 GRUDNIA 1862 ROKU. RANEK

Po całkiem smacznym, obfitym śniadaniu Whicher w niezłym nastroju raczył się cygarem. Ołowiane chmury za oknem, przywodzące na myśl raczej deszczowy listopad, a nie połowę grudnia, nie zachęcały do spacerów. Paskudna sprawa, która wczoraj go tak poruszyła, dziś stawała się tym, czym powinna być dla policjanta – zagadką do rozwiązania. Nie zdążył dopalić cygara, gdy zapukano do drzwi. Poślaniec z zawodowym uśmiechem podał kopertę. Jack dał fagasowi drobną monetę za fatygę i jeszcze w drzwiach otworzył przesyłkę. Ozdobne pismo głosiło:

Mr Whicher, czekam na Pana o 10 rano na ulicy Bonifraterskiej róg Franciszkańskiej. W kamienicy tej mieszka rodzina Holewickich herbu Kościeszka.

Z uszanowaniem,

A. Strzegomski

Detektyw uśmiechnął się i zadzwonił na służbę, by przyniesiono mu zostawione wczoraj do wyczyszczenia kalosze.

*

Strzegomskiego zobaczył od razu, choć ten – przynajmniej trzeba – tym razem przebrał się w bardziej stosowną, ciemną jesionkę z futrzanym kołnierzem i przyzwoity cylinder. W rękę trzymał laseczkę ze srebrną gałką.

– Holewiccy zajmują parter i piętro kamienicy – rzekł tłumacz po krótkim przywitaniu. – Kazimierski sprawdził dokładnie. Idziemy?

– Momencik, nie tak szybko. Wejście dla służby jest od podwórza?

– Owszem, prowadzi wprost do kuchni.

– Tedy wejdiesz pan tamtędy. Trzeba zapytać, czy nie znajdzie się jaka dobra mamka, bo słyszeliście, że u Holewickich mamka już niepotrzebna.

– Ja? – zdumiał się Strzegomski. – Nie jestem przecież policjantem.

– Uważasz pan, że służba Holewickich jest tak wykształcona, że po angielsku mówić umie?

Zrezygnowany tłumacz kiwnął głową, powiedział parę słów do dozorczy trzymającego straż w bramie i wszedł na podwórze. Nie było go długo, prawie dwa kwadransy. Patrol żandarmerii przeszedł obok Whi-

chera, gdy zaś mundurowi wracali, nader podejrzliwie patrzyli na wystającego pod bramą mężczyznę. Zapewne tylko jego znudzona mina i dostatni strój powstrzymały ich przed interwencją. Wreszcie Strzegomski ukazał się w wejściu. Wesolutki, z cylindrem przekrzywionym na lewe ucho. Jack spojrzał na niego ostro, ale tłumacz nie przejął się tym zbyt.

– W domu jest małe dziecko – rzekł. – Córka państwa, narodzona miesiąc temu. Kucharka mówi, że ma mocne płuca.

– Było czy jest? – naciskał inspektor.

– Jest, widziałem na własne oczy. Kucharka zaprowadziła mnie za zasłonkę w kuchni. A tam akurat... hm... mamka karmiła dziecko. Zerknąłem tylko i wyszedłem. Rozumie pan.

Rozczarowany inspektor pokiwał głową. Ech, nic się urwała. Ale skąd chusta i sztylet na miejscu zbrodni?

– Może były dwa dzieciaki? A służbie zabroniono mówić?

Strzegomski przestał się uśmiechać, Whicher zaś zawrócił pod dom Holewickich.

– Niech pan zapyta sąsiadów – nakazał – tylko proszę nie zaprzyjaźniać się z każdą kucharką!

Tłumacz machnął ręką.

– Kucharka jak kucharka – rzekł – ale ta niewiasta, która karmiła niemowlę! Co za oczy! Co za duma i rasa! Rzekłbyś, nie mamka, a co najmniej francuska guwernantka! Ciekawość, jaką jej własne dziecię musi mieć prezencję? Pewnie śliczne jak marzenie!

Detektyw stanął niczym rażony gromem. „Starzejesz

się, Jack” – pomyślał. Jasne! Dziecko mamki! Przed oczyma znów miał tłum ludzi zgromadzonych wokół zwłok. I pannę z dużym biustem oraz szaleństwem w błękitnych oczach. „A więc to jednak ona wyrzuciła akuszerkę i oglądała swoje dzieło”.

– Strzegomski! – Zatrzymał współpracownika. – Natychmiast do Ratusza po Kazimierskiego albo i radcę! Tę mamkę trzeba szybko zatrzymać!

Tłumacz, przejęty niezwykłą emocją w głosie Anglika, nie zadawał pytań. Skinął laską na fiakra i widać obiecał mu nagrodę, bo dwukonna dorożka ruszyła z kopyta.

16 GRUDNIA 1862 ROKU. WIECZÓR

W gospodzie „Pod Nóżką” wejście Whichera powitano owacją. Niezwykajny takich objawów uznania inspektor Scotland Yardu stanął w drzwiach i spojrzął po uśmiechniętych twarzach policjantów z Wydziału Kryminalnego. Pierwszy podążył ku niemu z wyciągniętą prawicą radca tytularny Wawilon Aleksandrowicz.

– Gratulacje, szanowny panie Jonathanie! Żał tylko, że sukces pański musimy trzymać w tajemnicy...

– O to mniejsza – odparł Jack, nieco zmieszany okazywanym mu ogromnym szacunkiem.

– Siadajcie, drogi inspektorze. – Kazimierski wskazał miejsce obok siebie – Polecam cynaderki w piwie, a i samo piwo mają tu zacne.

– Przyznała się – stwierdził raczej niż zapytał Whi-

cher, obtarłszy pianę z ust. Odstawił ciężki kufel na stół.

– A jakże – radca mówił z ustami pełnymi świńskiej golonki po bawarsku. – Jacenty ją nakrył, jak już na walizkach siedziała. Gdyby nie pan, inspektorze...

– Holewicy rozpoznali pieluszkę i pamiętkowy sztylet – dodał Kazimierski.

– Motyw też jasny. Moro obiecała, że odda chłopczyka mamce na wykarmienie, a nie zrobiła tego i zamorzyła noworodka głodem. Pieniądze na utrzymanie dzieciaka oczywiście dalej brała. Podejrzana, ruszona wyrzutami sumienia, chciała odebrać dziecko i zobaczyła... sam pan inspektor wie co. Szkoda jej. Zgładziła potwora, a będzie sądzona za zabójstwo z premedytacją...

– No właśnie, panowie... Jej wina nie pozostawia wątpliwości, ale coś w tym wszystkim nie pasuje. Bo jakże to, poszła po dziecko ze sztyletem? Pieluchę rozumiem, ale sztylet? No a potem jeszcze wyrzuciła ofiarę przez okno – na to trzeba sporo siły! – i zbiegła po schodach, by popatrzeć na swoje dzieło?

– Panie inspektorze – powiedział nieco podniesionym tonem Rożestwieński, a Strzegomski, nie tykając golonki, pilnie tłumaczył. – Niech pan nie dzieli włosa na czworo. Mamy ofiarę, motyw i zabójczynię, która przyznała się pod ciężarem dowodów. Wszelkie niejasności wyświetli szczegółowe przesłuchanie, bo dziś tylko krótką notatkę sporządziliśmy. Zatrzymana nie była w stanie składnie odpowiadać.

– Szkoda jej – ponownie stwierdził Jacenty, który niejedną już halbę piwa wytrąbił. – W końcu szlachcian-

ka, przyciśnięta biedą, poszła na służbę jako guvernantka, ktoś ją wykorzystał, straciła dziecko, a teraz jak nic skazą ją na twierdzę, a potem osiedlenie na Sybirze. Szkoda.

Zaległa nieprzyjemna, smężna cisza. Przerzywały ją tylko odgłosy krzątania kelnerów, siorbania piwa i szmer cichych rozmów przy kilku zajętych stolikach. Whicher miał już wznieść jakiś toast, by ożywić atmosferę, ale w tej chwili w drzwiach bawarii stanął Wisłocki, a za jego plecami... Mikołaj Borysowicz Czernyszewski. Radca poderwał się jak młodzieniaszek, ucisnął dłoń medyka, a potem swego byłego przełożonego. Z ulgą zrobiono miejsce dla przybyłych.

– Profesor zapomniał, że nie pracuję już w Wydziale Kryminalnym – tłumaczył Czernyszewski – a że chciał się koniecznie osobiście podzielić wynikami badań, wstąpił do mnie po drodze z Powązek.

Wisłocki odsunął podawane mu piwo, ale koniaku, który zarządził znający obyczaj patologa Mikołaj Borysowicz, nie odmówił. Łyknął tego i zaczął:

– Panowie, w całej swojej karierze nie trafiłem na podobny przypadek, a przecież bywało i tak, że niektóre ciała trafiały do mnie w stanie niemal całkowitego rozkładu...

– Przepraszam najuniżej – powiedział właściciel lokalu, wytoczywszy się zza lady. – Panowie znowu o trupach będą rozprawiali? Bo mnie to strasznie obroty psuje, klienci się płoszą...

– I cóż w związku z tym? – Kazimierski zmrużył oczy, jakby tłuszcioch w poplamionym chałacie stano-

wił cel śledzony przez muszkę i szczyrbinkę.

– Mam wygodną salkę na zapleczu, spokój tam, rozmawiać można o... wszystkim. A za kłopot piwo dziś na koszt firmy – wyrecytował grubas.

– I koniak! – zarządził Wisłocki pełnym głosem, zdumiewając wszystkich.

– I koniak – potwierdził gospodarz, uradowany ze zgody panów policjantów.

Radca zasznurował usta, a potem skinął głową. Rozprawianie o szczegółach śledztwa w publicznym miejscu było wszak niestosowne. Gdy już zasiedli we wcale przyjemnym pokoiku, profesor kontynuował:

– Raport wysłałem już umyślnym do Ratusza, a panom przedstawię *résumé*. Sami zobaczycie, z jak dziwnym przypadkiem miałem do czynienia. Po *primo*: ciało trafiło do mnie w chwili, gdy stężenie pośmiertne właśnie poczęło ustępować...

– Cooo? – Wawilon Aleksandrowicz wydał okrzyk i zamilkł.

– To znaczy, że ktoś wyrzucił ciało przez okno trzy dni po śmierci denatki? – Czernyszewski, widać wcześniej niewprowadzony przez medyka w szczegóły, nie krył zdumienia.

– Trzy, a może nawet cztery dni – rzekł Wisłocki.

Policjanci milczeli, Whicher siedział jak rażony gromem.

– A przyczyna śmierci? Profesorze? – Kazimierski odzyskał mowę.

Patolog rozłożył ręce i zacmokał, co było u niego sposobem na wyrażenie niepewności.

– Skoro nie upadek, to zapewne sztylet, jak podejrzewaliśmy – stwierdził radca.

– Sztylet znaleziony w ciele nie mógł spowodować zgonu – rzekł dobitnie Wisłocki. Tym razem zdumiewającą wiadomość przyjęto w całkowitym milczeniu.

– Panowie, sztylet został wbity bardzo wysoko, tuż pod lewym obojczykiem, przez co ominął płuco i, choć jak sądzę, rana była bolesna, nie zagrażała życiu. Lecz to nie były jedyne obrażenia, jakie odniosła ofiara. Dolną część twarzy i jamę ustną miała poparzoną witriolem. Wszakże jako przyczynę zgonu upatruję rozległe uszkodzenie jamy brzusznej i umieszczonych w niej licznych organów. Takie rany widziałem – profesor uniósł palec – podczas walk na Węgrzech. Dobrze wykonane pchnięcie bagnetem i przekręcenie tegoż w ranie.

– Co za staranny morderca – rzucił Jacenty. – Dwa razy dźgnął ofiarę, w tym raz bagnetem, spalił twarz witriolem, a po czterech dniach wrócił i wyrzucił ofiarę przez okno. I wszystko to miałyby zrobić ta panna? Panowie!

– Za wcześnie świętujemy – powiedział Whicher. – Przyjdzie nam się jeszcze mocno wysilić przy tej zagadce.

– A naczelnik zepchnął na nas tyle spraw! – jęknął Foma Niewstrujew.

Jack spojrział na Mikołaja Czernyszewskiego. Ten skinął głową i powiedział:

– Koledzy, spróbujemy pomóc, ale nikt nie może się dowiedzieć o udziale w sprawie *mister* Whicher-

ra. Ani moim.

17 GRUDNIA 1862 ROKU. RANEK

*Protokół z przesłuchania (fragmenty) Marii Walickiej,
spisany 16 grudnia 1862 roku*

(...)

Radca tytułarny Wawilon Aleksandrowicz Rożestwieński: Niech panna powie, którego dnia przyszła do Józefiny Moro i po co?

Maria Walicka: Trzynastego grudnia z samego rana, tak przed ósmą poszłam dowiedzieć się o syna. Oddany był wedle zapewnień mamce z gminu. Uznałam, że nie godzi się dziecka porzucać, a pokarmu Pan Bóg nie poskąpił. Wykarmiłabym i swoje, i Aurelkę państwa Holewickich.

R. T. W. A. Rożestwieński: Jak przebiegła wizyta?

M. Walicka: Byłam zaskoczona. Moro kręciła, mówiła, że dziecko jest daleko, że już znalazło rodzinę i że odzyskanie będzie kłopotliwe i... kosztowne. Wreszcie powiedziała, że nie ma czasu i kazała mi iść precz.

R. T. W. A. Rożestwieński: I co panna zrobiła?

M. Walicka: Wróciłam do domu, nakarmiłam córkę państwa. A potem bardzo zdenerwowana poszłam do znajomej, która wcześniej ode mnie korzystała z usług Moro. Ona... ona bardzo źle się czuła, ale powiedziała mi mnóstwo strasznych rzeczy o akuszerce. Poinstruowała mnie, jak zmusić Moro do oddania dziecka. Wzięłam tedy wszystkie pieniądze, jakie miałam,

potem zaś zabrałam sztylet z gabinetu pana, zabrałam też witriol...

R. T. W. A. Rożestwieński: A skąd panna miała witriol?

M. Walicka: Jak się okazało, że... jestem w odmiennym stanie, kupiłam na bazarku. Ale nie potrafiłam dopełnić grzechu śmiertelnego.

R. T. W. A. Rożestwieński: Rozumiem, niech panna kontynuuje.

M. Walicka: Moro, usłyszawszy o pieniądzach, otworzyła drzwi. Odepchnęłam ją i wpadłam do środka. Krzyczałam, żeby oddała mi dziecko. Chciała mnie wyrzucić, ale wyciągnęłam sztylet i grożąc jej, przeszukałam mieszkanie. I wtedy znalazłam... znalazłam... *(Na wniosek radcy podano osadzonej wodę, a przesłuchanie wznowiono po kwadransie).*

R. T. W. A. Rożestwieński: I co było dalej?

M. Walicka: Kompletnie oszalałam! Zmusiłam ją, by usiadła na fotelu. Przyłożywszy jej ostrze do gardła, chlusiłam w otwartą gębę witriolem. Moro charczała przez chwilę, a potem umilkła. Zrozumiałam, że zdechła. Płakałam okropnie nad synkiem, ale nie mogłam nic dla niego zrobić, nawet zabrać nie mogłam. Nakryłam go tylko czystą pieluszką i wysłałam z... tego miejsca. A wtedy zobaczyłam, że Moro żyje! Nie byłam sobą po tym, co zobaczyłam. Dźgnęłam to okropne babsko sztyletem i uciekłam. (...)

Czernyszewski odłożył odpis przesłuchania na stół. Whicher trwał w zamyśleniu, głowę przechylił na bok, wzrok miał nieobecny. Mikołaj wiedział z poprzednich wspólnie prowadzonych spraw w Warszawie i w Petersburgu, że w takiej chwili nie należy przeszkadzać koledze. Błądził spojrzeniem po pokoju hotelowym, gdzie ponadtrzymiesięczny pobyt detektywa z Londynu praktycznie nie pozostawił żadnych indywidualnych śladów, i dumał nad życiem policjanta Jej Królewskiej Mości. Zazdrościł Anglikowi możliwości skupienia się na robocie kryminalnej, polityka nie zatruwała mu życia. W przeciwieństwie do niego. Został pozbawiony posady szefa Wydziału Kryminalnego, bo nie uwzględnił gierk politycznych i nie pozwolił ujść bezkarnie sprawcy ohydnych zabójstw. Dobrze że skończyło się tylko na niełasce i przymusowym bezterminowym urlopie. Nieopodal kominka dostrzegł puste psie legowisko. Pewnie Whicher oddał Disraelego na przechowanie Oldze Żukowskiej. Mikołaj uśmiechnął się, widać jego pomysł, by poznać Anglika ze zwariowaną na punkcie mopsów szlachcianką, nie był tak do końca głupi.

– Ciekawe, czy zabrała pieniądze przyniesione dla Moro i czy zamknęła drzwi – powiedział niespodzianie Jack.

– Pieniądzy w każdym razie nie znaleziono. Żadnych pieniędzy... – odparł Rosjanin po krótkim zastanowieniu. – Co do drzwi... – Wzruszył ramionami.

– Trzeba więc ponownie ją przesłuchać.

– Myśli pan, że Walicka kłamie?

Teraz to Whicher miał ochotę wzruszyć ramionami.

– Ktoś dźgnął Moro bagnetem lub czymś podobnym. Ktoś, kto wie, jak się posługiwać takową bronią. Co jednak, jeśli tajemniczy nieznajomy i Walicka działali razem? To dopiero musimy wyjaśnić.

– Drzwi były zamknięte – poddał nową myśl Czernyszewski. – Klucz ma dozorca.

– Dozorca stał w bramie w momencie upadku Moro...

– Ale tylko w czasie upadku! A Moro zginęła cztery dni wcześniej!

Detektyw z Yardu pokręcił głową.

– Drzwi były zamknięte od wewnątrz, tak to przynajmniej wyglądało. Klucz tkwił w zamku. Żadnych tajemnych przejść w mieszkaniu nie ma. Zostaje tylko dach, dość stromy i śliski.

Były szef Wydziału Kryminalnego zmarkotniał. Dozorcy szło już na siódmy krzyżyk i do peregrynacji po dachach się nie nadawał.

– Trzeba koniecznie przesłuchać Walicką. I dowiedzieć się, kim był ojciec dziecka – stwierdził Jack.

Oczy Mikołaja rozbłysły. Racja: gdyby Walicka działała w zмовie z kochankiem... nieznany tatuś mógłby dokończyć robotę zaczęłą przez swoją flamę.

– Zajmę się podejrzaną – rzekł. – Jeszcze dziś. Co ja mówię! Zaraz!

W odpowiedzi na znaczące spojrzenie Anglika zamachał rękoma.

– Jestem oficjalnie urlopowany, a nie wyrzucony. Zresztą strażnicy na Pawiaku dobrze mnie znają. Nie będą robić kłopotów.

– Świetnie zatem. Ja zaś rozejrzę się jeszcze raz wokół miejsca zbrodni – rzekł energicznie Jonathan.

17 GRUDNIA 1862 ROKU. POPOŁUDNIE

Whicher wraz z milczącym tego dnia – co za ulga! – Strzegomskim chodził po Franciszkańskiej i zagadywał o wypadek wszystkich: sklepikarzy, posługaczy, naręcznych handlarzy, jako też panny służące, a nawet starozakonnych. Nikt nic nie widział, nie słyszał. Parę babć głądziło co prawda o strasznym dniu, ale jak to starowinki – dużo, ale bez sensu. Tłumacz sprytnie ucinał takie rozmowy.

W duszę Jacka powoli wsączał się strumyk niepewności.

– Kto jeszcze mógłby coś widzieć? – mruknął pod nosem.

Strzegomski wziął pytanie do siebie. Spojrzał w okna mieszkania Moro, potem zaś zerknął na dom po drugiej stronie ulicy.

– A ot, choćby ci studenci. – Wskazał poddasze kamienicy, gdzie w oknach o kolorowych ramach powiewały różne stroje, w tym kilka par kalesonów furkoczących trokami na wietrze.

Jonathan plasnął się w czoło z takim rozmachem, że przekrzywił mu się cylinder.

– Panie Strzegomski – powiedział z przekonaniem – z pana będzie bardzo dobry śledczy, a mnie czas na emeryturę.

Tłumacz zapłonął się jak róża i ruszył za Anglikiem

ku być może nisko urodzonym, ale wysoko mieszkającym studentom. Na pierwsze pukanie nikt się nie odezwał, zresztą na drugie i trzecie też nie. Strzegomski delikatnie odsunął Whichera i zaryczał jak bawół:

– Wino przynieśliśmy, ćwoki jedne!

Drzwi uchyliły się niemal natychmiast i wyjrzała zza nich ruda głowa. Zaspiane oczy zlustrowały gościa.

– A wino gdzie... – zaczął rudy, a potem dostrzegł detektywa. – Cholera, to jednak komornik...

Tłumacz naparł na drzwi i gdy już dostali się do niskiego, dusznego i ciemnego pomieszczenia pełnego książek oraz szczątków mebli, zbieranych widać po śmietnikach, wdał się w głośną rozmowę z trzema półnagimi, wyraźnie „wczorajszymi” studentami. Odsapnął wreszcie i rzekł po angielsku:

– Mamy szczęście, panie inspektorze. Chłopakom tak ulżyło, żeś pan nie komornik, że powiedzą wszystko. O, ten tu – wskazał na rudego – ma takie przyzwyczajenie, że ciągiem lubi ludziom w okna zaglądać. I to nie ot tak, a przez perspektywę.

Istotnie, przy lukarnowym okienku stała na prymitywnym trójnogu całkiem okazała luneta.

– I cóż tam ogląda? – zapytał Whicher, znając przecież odpowiedź.

– Panny służące, ale i damy nie zawsze zasłaniają okna – odparł tłumacz i puścił do Anglika perskie oko.

Rudy student zrobił skruszoną minę, znać wiedział, że o nim mowa.

– Panie kolego, zapytaj go, czy cokolwiek widział feralnego dnia.

Strzegomski szeleścił do rudego czas jakiś, tamten kręcił głową, ale wreszcie powiedział coś, co wprawiło tłumacza w świetny humor.

– Co? Co mówi? – Whicher dał się ponieść wcale nieangielskim emocjom.

– Widział kominiarza pracującego na tamtym dachu. Ale to nie wszystko.

– No! – popędził go Jack.

– Kominiarz wszedł przez okno do mieszkania.

– Niech pokaże, o które okna chodzi. I proszę mu nic nie podpowiadać!

Student bez wahania wskazał okna mieszkania Moro.

– Wreszcie! – Mieli ślad i, jak sądził inspektor, mieli przełom w śledztwie. – A co potem?

– Niestety, Jaremeę tego dnia dręczył katzenjamer, zszedł więc do sklepu Rotszwanca, żeby napić się kwasu ogórkowego, a na tym się nie skończyło. Wrócił do domu nad ranem.

– No tak. A rozpoznałby tego kominiarza?

– Nie, to był typowy czeladnik kominiarski, w ciemnym stroju, czapce i z kulą.

– Ach, więc czeladnik?... – podchwycił detektyw.

– Tak, mistrz miałby na głowie cylinder.

Whicher rzucił studentom rubla, budząc tym szczerą uśmiechy zadowolenia, po czym pożegnał uprzejmych, acz niedomytych młodzieńców. Na schodach spotkali krępego mężczyznę w stroju pogrzebowego koloru. Minę miał adekwatną do ubioru.

– Panie Strzegomski, powiedz pan komornikowi, że studentów dziś nie ma – rzucił Jack.

Tłumacz uśmiechnął się półgębkiem i co do joty wypełnił polecenie. A potem, rozpytawszy się o drogę u zasępionego komornika, ruszyli do najbliższej siedziby straży ogniowej, bo ku zdumieniu Whiche-
ra cech rozwiązano dwadzieścia lat temu, rozmieszczając kominiarzy przy straży pożarnej. Dlaczego? Inspektor zrozumiał dopiero wtedy, gdy Strzegomski zaczął robić dziwne miny. Widać cech był zbyt *polski*.

17 GRUDNIA 1862 ROKU. KWADRANS NA DRUGĄ. PAWIAK

Więzienie, a właściwie ta jego część, w której osadzano kobiety, mocno przygnębiło Mikołaja. Patrząc na twarze więźniarek, widział oczywiście, że niektóre noszą piętno okrucieństwa i rozpusty, ale też wiele z nich nie budziło negatywnych emocji. Zwykle, przeciętne, pospolite oblicza. Kim były te nieszczęsne istoty? Czym zawiniły?

Otrząsnął się z tych jakże nieprofesjonalnych myśli i skoncentrował na niewieście siedzącej za ordynarnym stołem z marnie heblowanych desek. Nie była może piękna, szary więzienny strój i czepek też nie dodawały urody. Spojrzała jednak na niego spod rzęs i Czernyszewski utonął w tym spojrzeniu. Zrozumiał zainteresowanie Walicką zwykle cynicznego i opanowanego Kazimierskiego. A jemu przypomniała kogoś, kogo kochał całym sercem, a kogo od miesięcy nie widział. Może dlatego utrafił we właściwy ton pełen niekłamane go szacunku i współczucia?

– Przykro mi, że spotykamy się w takich okoliczno-

ściach. Wie pani już, że nie zabiła akuszerki Moro?

– „Akuszerki”? To bydlę było, nie akuszerka! Potwór!

Krew napłynęła na blade policzki dziewczyny, przydając im urody i życia.

– Też tak myślę, ale ten, kto zabił, nie był szlachetnym człowiekiem. Wszak pani nie zabrała swoich pieniędzy od Moro?

– Nie, nie pamiętałam o nich. Chciałam tylko uciec!

– Tym bardziej nie okradła pani akuszerki z jej własnych oszczędności, nieprawdaż? A gdy sprawdzaliśmy mieszkanie, było wyczyszczone, że tak powiem, całkowicie.

– Nic o tym nie wiem, myślałam tylko o Stefanku...

– Pani Walicka, niechże pani zdradzi, kto był ojcem.

Ten ktoś nie zasługuje, by go pani chroniła.

Dziewczyna spojrzała na Mikołaja szeroko otwartymi oczyma.

– Pan myśli, że on... mógłby... Nie, to niemożliwe! – Panna omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– I nie, nie powiem panu, bo choć mnie skrzywdził, to jednak potem nie odmówił pomocy.

Urlopowany inspektor zamyslił się głęboko, po chwili zaś stwierdził:

– Zostawmy to. A może pani mi powie, kim jest i gdzie mieszka przyjaciółka, która otworzyła pani oczy na tę Moro?

Walicka zastanawiała się chwilę, skinęła głową.

– To biedna dziewczyna... Jak się okazało, że jest w odmiennym stanie, wyrzucono ją z domu, gdzie była służącą. Chciała usunąć... no, pozbyć się dziecka.

Trafiła do tej... do tego bydłęcia. I coś poszło nie tak. Ona umiera! Rozumie pan?! Jeśli chce pan zastać ją przy życiu, musi się pan spieszyć. Mieszka na Powiślu.

Czernyszewski wstał, podziękował. Prowadzona przez strażnika panna odwróciła jeszcze głowę i powiedziała cicho:

– Proszę podziękować temu miłemu policjantowi za porady i dobre słowo.

„Jakiemu policjantowi?” chciał zawołać, ale potem przypomniał sobie Kazimierskiego i odpowiedział:

– Oczywiście, niech Bóg będzie z panią.

17 GRUDNIA 1862 ROKU. DRUGA PO POŁUDNIU

– Franciszkańska? – Siwowłosy, ostrzyżony na języka mężczyzna przyjrzał się uważnie Strzegomskiemu, a potem Whicherowi podziwiającemu stojący w kącie spory posążek jakiegoś świętego. – A panowie policja? – zapytał nieufnie.

Tłumacz zawahał się, a inspektor wyciągnął z pugilaresu list polecający od oberpolicmajstra. Naczelnik oddziału kominiarzy założył druciane okulary i począł studiować z namaszczeniem okazane pismo. Jack czekał cierpliwie, potem zaś uśmiechnął się lekko – święty w kącie to przecież Florian, patron strażaków, a i pewnie kominiarzy. Znudzony Strzegomski sięgnął do kieszeni, ale detektyw zmarszczył brwi, srebrna pięciorublówka pozostała więc w surducie tłumacza.

– A, no tak – mruknął kominiarz. – Powiedzże pan Anglikowi, że na Franciszkańską chodzi Longin Pa-

sternak i jego czeladnicy: Brydak, Falkowski i Wawrowski. Pasternaka widziałem przed chwilą.

Whicher skinął uprzejmie głową, wyprostował się, jakby kij połknął, i wymaszerował z kantorku, po czym ruszył prawie biegiem po schodach. Strzegomski za nim. Dopadli Pasternaka już na ulicy. Po krótkiej wymianie zdań z mistrzem tłumacz rzekł:

– Szesnastego na Franciszkańskiej pracował Wawrowski. Specjalnie się zamienił z innym czeladnikiem, żeby tam kominy czyścić. Dziś nie pokazał się w robocie, a mieszka na Podwalu.

– Dobra nasza – stwierdził Jonathan. Rozejrzał się i złapał za ucho jakiegoś urwisa. Strzegomski skreślił na kartce parę słów i po chwili chłopak, stukając drewnianymi chodakami, pobiegł do najbliższego cyrkułu.

Inspektor wraz z tłumaczem dotarli na miejsce przed policjantami. Stojący w bramie młodzieniec w kominiarskim przyodziewku nie miał wątpliwości, kim są przybysze. Skoczył ku schodom popadającej w ruinę kamieniczki. Whicherowi mignęła niemiła wizja ścigania podejrzanego po śliskich, poszczerbionych schodach, a potem po dziurawym dachu. Szczęściem ucieczka była tylko pierwszym odruchem podejrzanego, gdyż okazało się, że grzecznie czeka pod drzwiami swego mieszkania. I wtedy na piętro – z łomotem ciężkich butów – wbiegło dwóch stójkowych, a na ich czele nie kto inny jak Czernyszewski.

17 GRUDNIA 1862 ROKU. W PÓŁ DO TRZECIEJ PO POŁUDNIU

Mikołaj dobrze znał smrodliwe i niebezpieczne nawet w jasny dzień zaułki Powiśla. Mieszkanie w tych ruderach oznaczało ostateczny upadek. Tu, pośród kup odpadków i ruin, gnieździli się najubożsi. I tam właśnie odnalazł wskazane przez Walicką miejsce. Bezskutecznie dobijał się do drzwi rozpadającej się chałupy. Wreszcie z okna sąsiedniej, równie zdewastowanej, wychynęła głowa staruchy.

– I po co tak walić? Marcowa nie wróci przed wieczorem!

– A panna Ewelina?

– O panie, ona już na Powązkach.

– Kiedy zmarła?

– Ano będzie parę dni.

Czernyszewski zaklął w duchu.

– A jej chłop?

– Iii, panie. Nijakiego chłopca nie miała. Ktoś tam ją zbrzuchacił, prawda, ale tu nie bywał.

– Zaraz, a ten młody? – Rosjanin strzelił w ciemno.

– Jaki młody... Aaa! Masz pan na myśli brata nieboszczki. Dobry chłopak. Strasznie kochał siostrę.

– Brat? Hm. A nie wie pani, gdzie mieszka?

– Aleś pan ciekawski! – Nastroszyła się baba.

Czernyszewski błysnął monetą. Starucha przełknęła ślinę i powiedziała szybko:

– Nie wiem, panie. Ale to kominiarczyk, we straży ogniowej będą wiedzieć.

Protokół z przesłuchania (fragmenty) Jana Wawrzeciekiego, spisany 17 grudnia 1862 roku

Radca tytularny Wawilon Aleksandrowicz Rożestwieński: Gdzie byliście trzynastego bieżącego miesiąca?

Jan Wawrzecki: Pracowałem przy ulicy Franciszkańskiej.

R. T. W. A. Rożestwieński: Czy było to zgodne z ustalonym porządkiem prac kominiarskich?

J. Wawrzecki: Nie. Zamieniłem się z Januszem Brydakiem, który miał sprawdzać tam kominy.

R. T. W. A. Rożestwieński: Dlaczego się zamieniliście?

J. Wawrzecki: Chciałem skuć mordę tej (*przestuchiwany użył wielu obelżywych słów*) suce Moro.

R. T. W. A. Rożestwieński: Z jakiej przyczyny?

J. Wawrzecki: Ta (*jw. słowa nieparlamentarne*) zabiła mi siostrę! Podjudziła ją do uśmiercenia dziecka, a potem tak nieumiejętnie poraniła ją hakami, że siostra wykrwawiła się w tydzień.

R. T. W. A. Rożestwieński: Opowiedzcie, co robiliście na dachu.

J. Wawrzecki: Normalnie wszedłem schodami, potem zaś drabinką przez wyłaz na Franciszkańskiej 32...

R. T. W. A. Rożestwieński: To kamienica obok?

J. Wawrzecki: Tak. Przeszedłem po dachu do lukarny mieszkania Moro. Byłem przygotowany do wybiicia szyb, ale okno okazało się otwarte. Wszedłem do mieszkania. Moro siedziała w fotelu i gapiła się na mię. To znaczy, tak pomyślałem, bo dopiero po chwili zrozumiałem, że jest martwa. Ktoś mię uprzedził! Scho-

wałem czekanik za pas...

R. T. W. A. Rożestwieński: Czekan? Nie bagnet?

J. Wawrzecki (*wyrażnie zdziwiony*): Bagnet? A skąd bym wziął? Czekan mam przydziałowy. Schowałem czekanik i rozejrzałem się po mieszkaniu... Zobaczyłem... zobaczyłem trupiarnię i taka mię wściekłość chwyciła, że wytargałem ścierwo tej okropnej baby i wypchnąłem przez okno. Potem chciałem zamknąć drzwi na klatkę, ale one były już zamknięte. Zostałem więc tylko klucz w zamku i umknąłem przez okno, a potem dachami.

R. T. W. A. Rożestwieński: Dla jakiej przyczyny chcieliście zamknąć drzwi?

J. Wawrzecki: Żeby opóźnić pościg.

R. T. W. A. Rożestwieński: Czy zabraliście coś z mieszkania?

J. Wawrzecki: Nie jestem złodziejem, a po tym, co zobaczyłem, chciałem tylko ukarać ścierwo (*mnóstwo obelżywych wyrazów*) i uciec z tego okropnego miejsca.

17 GRUDNIA 1862 ROKU. WIECZÓR

W knajpie „Pod Nóżką” w sekretnym pokoiku na zapleczu panował minorowy nastrój.

– A może to jednak ten kominiarczyk? – rzekł Foma Fomicz. – Zabił, a potem wrócił, by okraść mieszkanie.

– I dla zabawy wyrzucił trupa przez okno – mruknął Kazimierski. – Rozpytałem o niego. Uczciwy człowiek. To się kupy nie trzyma.

– Oskarżą go pewnie o profanację zwłok – powie-

dział Czernyszewski.

– Ech, sam bym to ścierwo sprofanował – odpowiedział Jacenty z pasją.

– Panowie, panowie – wtrącił radca – spokojnie. Złapaliśmy dwoje ludzi zamieszanych w morderstwo, ale prawdziwy sprawca nam umyka.

– Coś przegapiliśmy. – Mikołaj oparł głowę na rękach i wpatrzył się w stojącą przed nim setę i galareteę.

– To pewne – burknął Whicher i bez przyjemności wychylił kieliszek niezłej brandy.

NOC Z 17 NA 18 GRUDNIA 1862 ROKU

Disraeli chrapał niemiłosiernie i piszczał. Po zapaleniu świecy Jack stwierdził, że pies przebiera łapami, jakby śniła mu się pogoń lub ucieczka. W tym hałasie spać się nie dało, Whicher wziął więc szczeniaka na ręce i usiadł w fotelu przy kominku, w którym dogorywało ostatnie polano. Może trzeba było zostawić psa u pani Olgi, ale stworzenie przejawiało tak ogromną radość na jego widok, że Jonathan nie miał serca, by malucha porzucić na dłużej. Gładząc miękką sierść szczenięcia, inspektor myślał o śledztwie. Żałował, że Walker już pojechał. Dobrze byłoby z nadinspektorem omówić dotychczasowe wyniki śledztwa. Zdrowy rozsądek kolegi z Yardu wiele razy pomógł mu w należyтым spojrzeniu na prowadzone sprawy.

Myśli krążyły coraz ospalej, coraz mniej logicznie, wreszcie głowa opadła mu na pierś. Śnił o mrocznej komnacie, gdzie zewsząd patrzyły nań martwe oczy.

Obudził się gwałtownie. W ciemności hotelowego pokoju wgapiały się weń niebieskie, lśniące źrenice... Disraeli polizał go po dłoni, a potem obserwował zadziwiony, jak jego pan wykonuje przedziwne podskoki i piruety. Wreszcie, z radosnym szczekaniem, przyłączył się do zabawy.

18 GRUDNIA 1862 ROKU. RANEK

Inspektor Jonathan Whicher niecierpliwie oczekiwał odpowiedzi na wysłane listy. Co prawda posłaniec wybiegł z nimi ledwie kwadrans temu, ale...

Z nagłą załomotano do drzwi. Detektyw – nienagannie ogolony, w odprasowanym surducie i lśniących butach, jak na urzędnika Jej Królewskiej Mości przystało – z godnością otworzył, choć wewnątrz gotował się cały.

Czernyszewski – z rozwianym włosiem, w krzywo zapiętej jesionce i cylindrem utaplanym w błocie (jak nic, spadł mu po drodze w kałużę) – wkroczył do pokoju i chwycił zdumionego Anglika w objęcia. Disraeli zatańczył wokół dziwacznej pary na dwóch łapach, witając obcego ostrym szczekiem.

– Mamy go, mamy!

– Kogo, raptusie? Cicho, Dizi!

– Jak to „kogo”? Zabójcę Moro, oczywiście. Doróżka czeka na dole, spieszmy się, bo radca...

– Jakim sposobem tak szybko odebraliście wiadomość? – Whicher zapytał już na schodach.

– Wiadomość? Jaka? Rano wpadłem do magistra-

tu i wskazałem radcy fragment w protokole przesłuchania... Zaraz! Pan też się zorientował, inspektorze? – Rosjanin nagle przestał się spieszyć. Stanęli w wejściu do hotelu, głusi na ponagląjące okrzyki Fomy Fomicza, machającego do nich z dorożki.

Teraz Jack popatrzył zdumiony.

– Czy się zorientowałem? W czym?

Czernyszewski nieco otrzeźwiał i poprowadził Anglika do fiakra. Już po chwili rażno jechali pustawymi ulicami, bez skrpułów obryzgując brudną wodą z kałuż panny spieszące na targ i pierwszych handlarzy.

– Dziś w nocy przeczytałem fragment zeznań tego kominiarczyka, w którym stwierdza, że chciał zamknąć drzwi i wetknął klucz do zamka, ale ten JUŻ BYŁ zamknięty. A zapasowy klucz do mieszkania Moro miał tylko jeden człowiek.

Jonathan popatrzył zaskoczony, potem zaś rzekł:

– Czernyszewski! Racja. Ale – dodał po zastanowieniu – to nie jest dowód. Klucz można dorobić.

– W rzeczy samej. Po dowód jedziemy na Franciszkańską. A pan, inspektorze? Rozumiem, że i pan poznał sprawcę. Ale jakim sposobem?

– Na pomysł z kluczem nie wpadłem, a przecież to oczywiste – westchnął Jack. – Chyba już pora odejść na emeryturę. Ale wspomniałem, że w mieszkaniu zabitej nie znaleziono pieniędzy, a dochody z tego procederu powinny być znaczące. Ani ta biedna matka, ani kominiarczyk nie wzięli ani grosza. To przecież sprawdzono.

– Owszem, i co dalej? – pospiesznie dopytywał Mi-

kołaj, gdyż już prawie dojeżdżali.

– Ciała dzieci. Dlaczego Moro, doświadczona w tym fachu, zrobiła trupiarnię ze swego mieszkania? Zwykle przecież zwłoki porzuca się na ulicach, a te biedactwa, które jeszcze żyją, wynosi się chyłkiem do domu podrzutków.

– No i? – Czernyszewski dał znak dorożkarzowi, żeby się zatrzymał.

– Musiała mieć współnika, który wiedział o aborcjach, o wszystkim... Wspólnik załatwiał za nią wszelkie brudne sprawy. A potem przestał. Co więcej, nie pozwalał jej pozbywać się zwłok. O co chodziło? Oczywiście o to, czego brakuje w mieszkaniu Moro. O pieniądze. Kto mógłby być współnikiem, którego obecność w kamienicy nie budzi niczyich wątpliwości?

– No tak... ta trupiarnia... Że też na to nie wpadłem. Ale w tym może być sporo fantazji. I nie mamy żadnego dowodu.

– Jak sam pan powiedział, po dowód właśnie przyjechaliśmy.

Wysiedli z dorożki. Zajechał furgon, wysypali się z niego policjanci z kryminalnego. Na znak radcy Jacency Kazimierski podszedł do wspartego na miotle dozorca, schwycił go za kark i bez słowa pociągnął do służbówki. Podejrzany wierzgał i próbował wymachiwać rękoma, ale milczał. Kwatera ciecica była dość obszernym, jednopokojowym pomieszczeniem. Ciemności, jakie tam panowały, zostały rozproszone dopiero latarkami policjantów. Rzuciły światło na straszliwy barłóg, stół, wiadra i kulawe stołki. O dziwo, nie

śmierdziało zanadto, a i robactwa Whicher nie zauważył. Radca Rożestwieński spojrział krytycznie na jedyne krzesło, ale usiadł na nim i wsparł się oburącz na lasce. Policjanci z łomotem przesuwanym sprzętów przeszukiwali pomieszczenie.

– Schowek na miotły – rzucił po chwili Wawilon Aleksandrowicz.

Nieruchoma dotąd twarz dozorca drgnęła, ale ponownie zastygła, tylko wąskie usta starego poruszyły się, jakby coś przeżuwał.

– Ot, i jest. – Radca ujął podaną mu broń, lustrując ją z zaciekawieniem. Półmetrowe wygięte ostrze, dziwne wycięcia w rękojeści. – A cóż to za dziwadło? – zastanawiał się głośno.

– Norweski bagniet-szabla – odparł Kazimierski. – Widziałem takie w akcji, poręczna rzecz.

– I cała wymazana – skonstatował Rożestwieński.

– Nasz jegomość wytarł ostrze ścierką, ale śladów zostało dość, by stwierdzić, że to krew.

– Kurę zarżnąłem – wychrypiał milczący dotąd dozorca.

– Już my, policja, mamy sposoby, by się dowiedzieć, jaka to kura była. Krew dość świeża, łatwo będzie dojść.

– A dochodźcie sobie. – Starzec wyraźnie nie uwierzył.

– No, no, Zdaniewicz, a gdzie to pieniądze schowałeś?

– Nijakich pieniędzy nie chowałem.

Radca zafrasował się, bo podkomendni kończyli już rewizję, a zrabowanej gotowizny nie znaleziono. Whicher popatrzył przez brudne szyby na podwórko sma-

gane lodowatymi strugami deszczu. Potem zaś na zimny piec i ułożone równiutko obok drwa, na których zdesperowany pająk zdążył rozpiąć sieć.

– Sprawdźcie piec, przewód kominowy – powiedział, a gdy Czernyszewski przetłumaczył, maska spokoju spadła z czerstwej twarzy ciecia. Spod niej wyrzał pysk bydłęcia.

– To moje! – zaryczał i runął ku stołowi, na który radca odłożył bagnet. W jednej chwili przebił zaskoczzonego Czajkowskiego i natarł na Fuksa. Kazimierski zdzielił mordercę kolbą ciężkiego rewolweru. Staruch padł na deski. Doskoczył do niego Fuks i zaczął kopać podkutymi butami, klnąc przy tym niczym odeski tragarz. Wszyscy patrzyli na to z satysfakcją, aż wreszcie radca przerwał zasapanemu funkcjonariuszowi.

– Wystarczy, musi nam parę rzeczy powiedzieć, nim zadynda.

Wyciągnęli ze służbówki pobitego Zdaniewicza i niczym worek ziemniaków wrzucili do czekającej kibitki. Czajkowskiego opatrzył Czernyszewski, a potem Jacenty pojechał z rannym do szpitala.

Wawilon Aleksandrowicz przeglądał zawartość płóciennego woreczka. Mała fortuna w złocie i srebrze. Znalazł też niewielką książeczkę.

– O, paszport. Angielski – dodał nieco zdziwiony i podał dokument Whicherowi.

– Jeanne Morrow – odcyfrował Jack. – Niewątpliwie poddana Jej Królewskiej Mości.

– Czyli nie z Grójca, a z Londynu – stwierdził Ro-

żestwieński. – Jak to się dziwnie plecie. – Dźwignął się ciężko z krzesła. – Chodźmy, panowie, czas pisać raporty.

Protokół z przesłuchania (fragmenty) Feliksa Zdaniewicza, spisany 19 grudnia 1862 roku

Radca tytularny Wawilon Aleksandrowicz Rożestwieński: Co było przyczyną konfliktu z akuszerką Moro?

Feliks Zdaniewicz: Małpa chciała wyjechać z kraju. Była winna mi pieniądze.

R. T. W. A. Rożestwieński: Za co?

F. Zdaniewicz: Ta krowa nie tylko przyjmowała porody, ale także spędzała bękarty. Pomagałem jej usuwać trupy. Ale mało płaciła. Nie chciałem tego robić darmo.

R. T. W. A. Rożestwieński: Czemu sama się ich nie pozbywała?

F. Zdaniewicz: Nie pozwalałem jej wychodzić z domu. O trupy się nie niepokoiłem, bo zimno było. Żarcie dostawała, ale to spryciara była, mogła się z kimś dogadać przez którąś z tych wywłok, co je przyjmowała. Zagroziłem policją, znajomymi z cyrkułu. Nie wiedziałem, gdzie trzyma pieniądze i dokumenty. Myślałem, że zmańdrzeje. Ale harda była, jak nic coś knuła.

R. T. W. A. Rożestwieński: Co zaszło trzynastego tego miesiąca?

F. Zdaniewicz: Poszedłem do Moro rozliczyć się ostatecznie. Drzwi były otwarte. Ta stara (*liczne inwekty-*

wy) siedziała na fotelu i coś charczała. Zobaczyłem, że ktoś ją gracko sprawił. Miała spaloną gębę i nóż wbity w ramię. Tedy dokończył zech wiedźmę – z litości, panie policjancie. I znalazłem przy niej pieniądze.

19 GRUDNIA 1862 ROKU. WIECZÓR. DWORZEC KOLEI WARSZAWSKO-WIEDEŃSKIEJ

Jonathan Whicher siedział w przedziale pierwszej klasy pociągu stojącego na stacji Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i wyglądał przez okno. Po peronie kręciło się sporo ludzi – podróżnych i odprowadzających. Między nimi przemykali objuczeni walizami i kuframi bagażowi. Strażnicy dawali baczenie. Co chwilę tłum rozstępował się przed patrolem żandarmerii.

Whicher ledwo to wszystko zauważał, gdyż myślał właśnie, że w zasadzie najlepszym dla niego wyjściem jest emerytura. Pieniędzy mu wystarczy, a odpocząć musi, i basta. Oparł się wygodnie o pluszowe obicie kanapy, głowa opadła na pierś. Rozmyślał o tym, co zaszło wczoraj po ujęciu Zdaniewicza. Zjedli śniadanie „Pod Nóżką”, solidnie zresztą zakrapiane, w końcu Wydział Kryminalny odniósł kolejny sukces. Rozstali się w świetnych nastrojach. Po powrocie do hotelu Whicher rzucił się na łóżko i kurzył cygaro, wysyłając pod sufit kłęby dymu, co robił ku jawnemu niezadowoleniu Disraelego, który domagał się uwagi i natychmiastowego zaprzestania zatruwania powietrza tytoniowym smrodem. Z długiej drzemki wyrwało Jonathana pukanie. Zamiast spodziewanego obiadu

zastał za drzwiami Strzegomskiego. Tłumacz miał rozchełstany płaszcz, a cylinder przekrzywiony.

– Kazimierski prosi pana na dół – wyrzucił zdyszany.

Zdziwiony Anglik zgodził się i chciał iść, jak stał, ale zaaferowany Strzegomski zamachał rękoma.

– Proszę włożyć wierzchnie okrycie. Z pewnością pojedziemy dorożką.

Ubrany, już trzeźwy i dość głodny Jack zszedł do hotelowego holu.

– Walicka zdradziła, kto był ojcem zamordowanego dziecka.

– Jej pracodawca, oczywiście – rzekł Whicher.

– Wiedział pan?

– Domyśliłem się. Niestety, to częsty przypadek.

– Ale Walicka powiedziała też, kto był ojcem dziecka jej zmarłej przyjaciółki.

Jonathan uniósł brwi.

– Też on?...

– Wiemy również o kilku innych przypadkach.

– A to knur sprośny! – wymknęło się Whicherowi.

– Ale... co nam do tego?

Strzegomski popatrzył błagalnie na Anglika.

– Panie inspektorze, niech pan pójdzie z Jacentym. On się bardzo zaangażował w sprawę Walickiej. Rozumie pan?

Anglik potaknął, w końcu policjanci też są ludźmi.

– Wcale nie chciał po pana przyjść, namówiłem go.

– Ale...

– Panie inspektorze! On zrobi coś złego!

– A koledzy z biura? – zagadnął Jack, powoli zaczy-

nając rozumieć sytuację.

– Nie powstrzymają go. Może pan... On ma wielki szacunek dla pana.

– Dobrze. Chodźmy – rzucił Whicher, czując, że pakuje się w awanturę, której powinien unikać oficer policji Jej Królewskiej Mości.

Przed hotelem tam i z powrotem chodził wzburzony Kazimierski. Jedno spojrzenie w szare oczy bezlitosnego likwidatora uświadomiło Jackowi, że wszelkie próby odwiedzenia go od wizyty u Holewickich spełzną na niczym.

– Co słyszę, panie Jacenty? – rzucił poważnym tonem. – Chce pan kontynuować sprawę Moro? Przecież radca już ją zamknął...

– Trzeba sprawdzić, jak to bydlę mogło tak długo zajmować się tym procederem bezkarnie, musiała mieć możliwych opiekunów – Kazimierski mówił spiesznie, jego słowa cięły niczym nóż. Strzegomski ledwie nadążał z tłumaczeniem. A Whicher pokiwał głową. Mógł teraz obrócić się na pięcie i odejść, ale wiedział już, że tego nie zrobi. Podczas miesięcy, które spędził w Warszawie, stał się członkiem Wydziału Kryminalnego, wraz z Jacentym Kazimierskim narażali życie. Nie, nie mógł go porzucić, zostawić bez wsparcia. Choćby to miało być gwoździem do trumny jego kariery.

– Bardzo dobrze – rzekł. – Jedziemy.

W domu Holewickich przyjęto ich uprzejmie, ale chłodno. W salonie pan domu – czterdziestolatek w angielskich tweedach uwydatniających tłusty brzuch

– bez zainteresowania spoglądał na przybyszy przez szkła w cienkich drucianych oprawkach tkwiących na bulwiastym nosie. Siedział w fotelu, a pani domu stała wsparta o wezglowie leniwca.

Strzegomski przedstawił Whichera i dopiero wtedy proszono „panów policję” siadać.

– Panowie zapewne w sprawie Walickiej. Nieszczęsna kobieta! – westchnął ze smutkiem pan domu.

– Taki skandal! – wtrąciła niebrzydka trzydziestolatka w czarnej sukni ozdobionej paroma srebrnymi haftami. – Będziemy się teraz wstydzić, gdziekolwiek pójdziemy. A tak o nią dbaliśmy, bo to nasza daleka krewna. Nawet w jej stanie... nie opuściliśmy niewdzięcznicy!

Kazimierskiemu nabrzmiały żyły na skroniach, ale przemówił spokojnie:

– Ciekawi państwa zapewne, kto był przyczyną upadku dziewczęcia?

– Och, tylu jest młodych subiektów i innych szawiliów – odparła gospodyni, machając lekceważąco ręką.

Pan domu stracił humor i poparł małżonkę:

– Niespecjalnie nas to zajmuje – wydusił z nagła zachrypnięty i odchrząknął parę razy.

– Ale, ale... Wszak znał pan przyjaciółkę Walickiej? Niejaką Wawrowską? – Jacenty zaciskał pętlę.

Holewicki zbladł.

– Marianno – rzekł do żony drętwym głosem – zostaw nas, kochanie. Będziemy dyskutować o sprawach niegodnych twoich uszu.

– Czego panowie chcecie? – rzucił ostro, gdy kobieta znikła za drzwiami.

– Walicka była pańską kochanką – rąbnął Kazimierski.

Gospodarz wykrzywił wargi w imitacji uśmiechu.

– Zaraz tam kochanką.

Policjant pominął milczeniem tę uwagę, mówił dalej:

– Renata Wawrowska także. I Emilia Mogdał, i Celine Durawicz, i Gołda Rosner. Mam wyliczać kolejne panny?

Z twarzy Holewskiego zniknął cyniczny uśmiešek. Poczzerwieniał, na wysokim czole zaperlił się pot.

– I wie pan, wszystkie te niewiasty straciły dzieci, a część przypląciła życiem obcowanie z panem. I jeszcze jedno: wszystkich aborcji dokonywała polecana przez pana Moro. Zapewne przyjaciołom też pan ją reklamował. Ciekawość, jak bardzo się taka działalność panu opłaciła?

Ubrany w tweedy mężczyzna zerwał się z fotela, zrobił dwa kroki ku kominkowi i chwycił ciężki po-grzebacz. Z furią w głosie zaryczał:

– Woon!!!

Whicher kątem oka zobaczył, jak Kazimierski sięga po broń. I zrozumiał jego zamysł. Sprowokował Holewickiego, by go zabić, a z Anglika chciał uczynić świadka samoobrony. Jonathan w ułamku sekundy podjął decyzję i z całej siły grzmotnął rozszalałego gospodarza pięścią w podbródek. A uderzył nie jak zwykli to czynić džentelmeni na ringu, lecz tak, jak rozstrzyga się sprawy w Stepney, dokach lub w ciemnych

zaułkach East Endu. Holewicki ze złamaną szczęką uderzył o ścianę i osunął się po niej nieprzytomny, by lec w kałuży krwi. Jacenty wściekle spojrział na inspektora, niczym wilk, któremu odebrano zdobycz. W oczach Polaka błysnęła stal, bezlitosny eliminator znany inspektorowi z akcji w Warszawie i Petersburgu był o krok od morderczego szału.

– Mocny był tylko wobec niewiast – powiedział z idealnym wyczuciem czasu tłumacz i splunął na nieprzytomnego. – A jak ręka? – zatroskał się.

Whicher pomachał dłonią z krwawiącymi kostkami i mruknął:

– Nie ma problemu, szkoda, że ten knur nie pozwolił mi na poprawkę.

Strzegomski się zaśmiał, Kazimierski – po ulotnej chwili – też. Jack wziął ozdobioną herbem serwetę ze stołu i owinął dłoń. Gospodarz leżał cicho, nie protestując.

Whicher ocknął się z zamyślenia, gdy zawiadowca ogłosił odjazd. Radca i Czernyszewski po cichu doradzili mu jak najszybsze opuszczenie Warszawy. Ocalił karierę Kazimierskiego, ale skandal mógł urosnąć do gigantycznych rozmiarów, bo Holewicki miał szerokie koneksje, także wśród rosyjskich dostojników. Nikt nie zamierzał wytoczyć mu procesu w sprawie Moro. Zresztą, gdyby rzecz zaszła w Anglii, a pobyty szlachcic poskarżył się policji... doszłoby do afery stulecia. Mikołaj Borysowicz w ostatniej chwili powiedział Jackowi, że Moro miała już wykupione bilety na kolej, a potem na statek do Anglii. Dlatego nie

próbowała dłużej spierać się ze współnikiem o zyski. Chciała mu zostawić cały kram na głowie, a kto wie, może i jakiś donosik napisać?

Angielski inspektor przyjął to do wiadomości, machnął też ręką na sumitowanie się Kazimierskiego. Jedno tylko utkwiło mu w pamięci z tego, co rzekł porywczy policjant: „Nazywamy Moro potworem, a przecież takie potwory nie miałyby racji bytu, gdyby nie wieprze pokroju Holewickiego”. Tak... była w tym racja, ale skąd wziąć lekarstwo na taki stan rzeczy? Uścisnął parę dłoni, zostawił adres Czernyszewskiemu i pospieszył na wieczorny pociąg. Z ulgą żegnał Warszawę, miał dość tego miejsca, tego czasu i napięcia malującego się na twarzach ludzi przeczuwających nadchodzące nieszczęście.

Pociąg ruszył i nagle coś się zmieniło. Disraeli, dotąd drzemiący, uniósł głowę i zaczął energicznie węszyć. Detektyw wyrztał przez okno. Z mrocznego nieba opadały na peron, tory, na Warszawę ogromne białe płatki. Pierwszy śnieg tego roku. Gdy opuścili ze świstem pary i dudnieniem kół szycujące się do świąt i wojny miasto, Jonathan „Jack” Whicher odwrócił się od okna i opadł na kanapę.

Disraeli spał.

Pan Whicher na prowincji
Copyright © Agnieszka Chodkowska–Gyurics & Tomasz Bochiński
Copyright © Wydawnictwo Literate
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover photo by Miroslav110/Adobe Stock, podlaski49/
Adobe Stock
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

książka ISBN 978-83-7995-531-2

ebook ISBN 978-83-7995-532-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Artur Szejter

Korekta: Barbara Mikulska

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Agnieszka Zawadka

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

sekretariat@inanna.pl

www.inanna.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl